Nr. 44. Rok I.



NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Cena prenumeraty: kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 złtr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austrjackich 1 zlr. 40 c.

Poznań, 28 Października 1871.

Redakcja przy ulicy Fryderykowskiéj Nr. 27. Ajencje: Lwów: Milikowski, Gubrynowicz i Schmidt Kraków: Friedlein, Józef Czech.

KILKA SŁÓW

w odpowiedzi na list otwarty

pana Dr. Henryka Levittoux.

Krytyka literacka i naukowa, byle przez uzdolnionych prowadzona, ma to sobie właściwego, że zwraca uwagę na dzieła nowo wychodzące, ocenia ich wartość, podnosi znaczenie autora w opinji publicznéj, wyświeca jego stanowisko, z jakiego się na rzecz przez siebie traktowaną zapatruje, odchyla jego talent, jego zasługi, ale nie pomija i słabych stron i niedomagań, jakieby w pracy jego odkryła. Ztąd w piśmiennictwie wielkie krytyki znaczenie, a gdzie jéj niema, tam z pewnością wnosić można, że kraj czy naród, na niskim stoi stopniu wykształcenia. Bo jeżeli dzieło pewnéj wagi, nie obudza niczyjego interesu, widno, że tego rodzaju praca publiczność czytającą nie obchodzi, dla tego że się na niéj niezna i wartości jéj ocenić nie umie.

Mimo tych zasług krytyki rozsądnéj i nienamiętnéj, myliłby się jednak, ktoby sądził, że ona od razu rozwiązuje swoje zadanie; że jéj sądy są niecofnione, że pod jéj wyroki poddaje się i autor krytykowanego dzieła i publiczność czytająca. Tak nie jest. Bo i niezawsze krytyk z należnym zasobem wiadomości i trafnego sądu ocenia dzieło autora, a ten znów rzadko godzi się z widzeniem rzeczy recenzenta. Zwykle odpiera jego zarzuty; rozpoczyna się polemika krytyczna, interesująca przedewszystkiém osoby do walki występujące. Reszta czytającéj publiczności mało w niéj bierze udziału, chyba, że dwie szkoły, jak niegdyś klasyczna i romantyczna, występują do krytycznéj szermierki, bo tu już chodziło o ogólniejsze i wielkie w poezji zasady, ogarniające interes całości intelligencji. Spory szczegółowe mniejszéj są wartości, a jeżeli się z zaciętością toczą, śmieszą jednych, nudzą drugich i pożytku rzeczywistego nie przynoszą. Sąd intelligencji wyrabia się w niéj saméj. Podżegniony przez krytykę, wyrabia się na wielu innych zdaniach, zkądinąd czerpanych, które sama nauka lub literatura, a nadewszystko zdrowy sąd o rzeczy przynosi.

Gdyby filozofja u nas była rozpowszechnioną, gdybyśmy posiadali profesury i systemy filozoficzne, na własnych badaniach rozwinięte, a przez zwolenników w osobne szkoły uformowane, możeby filozofja natury pana Levittoux znalazła wielbicieli metody jego wykładu i realistycznego zapatrywania się na rzeczy; a przeciwnie krytyk miałby prawdopodobnie po sobie idealistów, co w idei, czyli w żywotności postępowéj rozwijającego się ducha, widzą tak filozofję czystą, jak jéj zastosowanie do natury innych objawów duchowego w ludzkości rozwoju. Możeby wtenczas obudził się interes głębszy dla traktującego się przedmiotu, a korzyść niejaka spłynęła dla nauki. Gdy tego wszystkiego niema, a filozofja w ogóle mało u nas liczy adeptów, kontynuowanie polemiki krytycznéj, mianowicie w piśmie jak Tygodnik Wielkopolski, poświęconym nie saméj nauce ale i lekkiéj literaturze, byłoby nie jego zaletą, ale jego stroną ujemną. Nieliczna u nas uczona publiczność, która znakomite zkądinąd dzieło pana Levittoux przeczyta — mianowicie w francuzkiém wydaniu, wiele obszerniejszém i poprawniejszém od polskiego (stron 556, w Warszawie u Gebethnera i Wolffa) — wyrobi sobie zapewne sąd bez-

stronny i na tém co przeczyta, i na tém, co krytyk zaczepił, a autor w obronie swojéj w liście otwartym napisał.

Na jednym głównie kardynalnym punkcie, którego dla tego pominąć nie mogę, opiera się sprzeczność widzenia rzeczy autora i krytyka, a tym jest samo pojęcie filozofji. Wedle autora każde traktowanie przedmiotu, wyśledzające jego początek, jego prawa, jego rozwój i jego cel, już jest filozofją. I tego zdania jest wielu uczonych, mianowicie angielskich i francuzkich, podających badania swoje nad przedmiotem za filozofję. To też szanowny autor, oparłszy dzieło swoje, nietylko na własnych pomysłach, ale głównie na znakomitych wypadkach Etienne Geoffroy Saint-Hillair'a i Flourens'a i innych badaczy francuzkich w rzeczach przyrody, nazwał je filozofją natury. Zaś wedle tego, jak z początku Grecy a ostatecznie Niemcy filozofję pojmowali i wykształcili — a do tych rzędu i krytyk się policza — filozofja nie jest rozumowaniem o przedmiocie, ale jest tym przedmiotem samym. Jest to duch żywotny i istotny tego przedmiotu, rozwijający się sam z siebie, wedle pewnych, koniecznych, z istnéj własnéj duchowéj natury wynikających momentów. Duch ten przedmiotowy dla tego poznawan i przyznawan jest przez ducha ludzkiego — przez myśl i rozum pojmujący — że tak duch ludzkości, jak duch natury, jest tylko odblaskiem duchowości, jednego, nieskończonego ducha Stworzyciela, czyli Boga. My ludzie, jesteśmy rzeczywiście synami bożymi, jak nas w téj mierze już nauka starego przymierza nazywa, bo mamy krom wiedzy siebie i wiedzę Boga, i Jego róźnolitego objawienia tak w naturze, jak w religji, jak w społeczności i prawodawstwie, jak w dziejach, pięknie i umiejętności. Całkowitą wiedzą w zupełności jest Bóg; nie posiada jéj bezwiedna natura; a z organizmów żywych, powołany do téj wiedzy jedynie człowiek, obdarzony ku temu potrzebnemi narzędziami — rozumem i mową. „I stworzył Bóg człowieka na wyobrażenie swoje, na wyobrażenie Boże stworzył go, mężczyznę i białogłowę stworzył je“ (Genesis I. 27). „Utworzył tedy Pan Bóg człowieka z mułu ziemie, i natchnął w oblicze jego duch żywota, i stał się człowiek w duszę żywiącą“ (Genesis II. 7). Na te słowa pisma odwołuje się Paweł apostoł w pierwszym liście do Koryntjan (Rozdz. XV w. 45 i n.) dowodząc, że człowiek najprzód cielesne rzeczy poznaje, potém duchowe, że pierwszy jest człowiekiem ziemskim, drugi duchowym, niebieskim, i dodaje: „Oto tajemnicę wam powiadam: wszyscy wprawdzie zmartwychwstaniemy, ale nie wszyscy odmienieni będziemy.“ „A gdy to śmiertelne przyoblecze nieśmiertelność, tedy się stanie mowa, która jest napisana: pożarta jest śmierć w zwycięztwie.“

W tych słowach pisma przedstawione mniéj więcéj i duchowe usposobienie człowieka i rozwój jego duchowości w kolei wieków, od poznawania ciała aż do poznawania ducha, aż następnie do zmartwychpowstania w odmiennym stanie i pokonania śmierci. Już i z tego źródła wyprowadzamy wniosek, że filozofja — będąca badaniem duchowości — jest podmiotowo duchem do wiedzy rozwijającym się; zaś przedmiotowo, że jest poznawaniem tego samego ducha zewnątrz siebie w naturze i w ludzkości. A że wszelka duchowość jest nietyl o wiedzą ale i mądrością żywotną, rozwijającą się w prawach natury i w tém wszystkiém, co się dzieje i objawia na niebie i na ziemi, musi w tym rozwoju zachodzić system, to jest nie przypadek, nie dowolność, ale konieczność takich a nie innych następstw, wypływająca z istoty saméj duchowości, wiodąca wszędzie do przekonania, że tylko „Bóg jest, który jest“; że co się objawia w przestrzeni i czasie, jest tylko obłoczą, obrazem, symbolem boskiéj duchowości; że mimo przewrotów jest postęp i wszystko zmierza do doskonałości i odsłania wiekuiste plany boskie, czyli Boga samego w Jego dziele stworzenia, odkupienia i oświecenia czyli uduchowienia.

Filozofja więc jest tą myślą, myślącą, pojmującą, rozwijającą się z siebie, jest duchowością, przychodzącą systematycznie do coraz rozleglejszéj i doskonalszéj wiedzy w człowieku; jest maluczkim odblaskiem mądrości bożéj objawiającéj się w postępie czasu; jest duchem kroczącym do poznania Boga w nieskończonym Jego majestacie przez narody i czasy. Zdawałoby się ztąd, że filozofja powinna być tylko jedna. Ona jest też tylko jedna, mimo różności systemów. Jak rodzaj ludzki jest jedném człowieczeństwem przez wszystkie wieki, ale różnego oblicza w pojedynczych ludziach, w których dopatrzysz coraz doskonalsze rysy twarzy, coraz udatniejszy ustrój członków; tak i w pojedynczych systemach filozofji, jakie się po sobie rozwinęły, widzisz jednę i tę samą myślącą duchowość, ale coraz dokładniejsze pojmowanie tego, co jest prawdą, dobrém i pięknem. Znajomość ziemi naszéj, geografja, powstała ze zbioru najrozmaitszych podróży i ze zastosowania do niéj nauk fizycznych, matematycznych i statystycznych; podobnie filozofja rozwija się przez rozliczne systemy filozofów i przez zastosowanie do niéj wszystkich wiadomości i umiejętności. Wszakże jakikolwiek będzie system, to jest, z jakiéjkolwiek wychodzić będzie zasady, musi być rozwojem z siebie, to jest rozwojem téj zasady; a jakakolwiek ona będzie, zawsze prowadzić musi do Boga i Jego objawienia, tak jak jedno i drugie wedle téj zasady pojmuje.

Wynika ztąd, że filozofja jest naprzód czysta, pojmująca się jako myśl, czy jako idea, czy jako duch, i dochodząca do coraz doskonalszego i zupełniejszego wypełnienia téj myśli, czy téj idei, czy tego ducha. Następnie będzie filozofja zastosowana, upatrująca tę samą myśl, tę samą ideę, tego samego ducha zewnątrz siebie w pojawach natury i objawach ludzkości. Najobfitszą w tém rozumieniu zastosowania jest filozofja Hegla, która wszystkie momenta swoich badań czystych odsłoniła w całéj zewnętrznéj przedmiotowości i ukazała filozofję natury, filozofję sztuki, filozofję religji, dziejów prawodawstwa i samego historycznego rozwoju umiejętności filozoficznéj. Tém się różni n. p. dziejopismo, czy kronikarskie, czy pragmatyczne, czy krytyczne, czy rozumujące, jak n. p. Bucklego historja cywilizacji w Anglji, od filozofji historji, że ta ostatnia siebie samą odsłania w dziejach świata; że własny logiczny rozwój duchowych postępów doziera w wypadkach dziejowych; że wskazuje na coraz wyższą doskonałość uspołecznienia się ludzkiego, jakby zbliżanie się do królestwa bożego na ziemi.

Otóż pisząc filozofję natury, trzeba albo własną filozofję czystą zastosować do niéj, albo momenta obcego systemu filozoficznego odnaleźć w naturze, i w jéj prawach i objawach wskazać obłocz wszystkich tego systemu momentów. Jednego ni drugiego niema w filozofji natury pana Levittoux.

Wszakże jest jeszcze trzeci sposób pisania filozofji zastosowanéj. Nie potrzeba koniecznie z własnym lub cudzym filozoficznym systemem występować w zastosowaniu. Można w układzie dzieła samemu sobie taki system ułożyć i przeprowadzić. Będzie tam zawsze coś z zasad minionéj filozofji, w oryginalny swój własny sposób. I w tym względzie nauka pana Levittoux o atomach i siłach, przypominająca atomistów i dynamistów z dziejów filozofji, i którą dla tego nazwałem teoretyczną, mogłaby była znaleźć zastosowanie do całego systemu natury, to jest do wskazania, jak z atomów, będących razem siłami (przyciąganie w odpychaniu) powstaje ruch i żywot, jak tworzą się komórki, ciała; formują się nieorganizmy i organizmy; jak powstają królestwa rzeczy stworzonych, klasy, gatunki, rodzaje i odmiany; jak z tych pierwiastków dochodzim do myrjad światów: słońc, planetów,

księżyców, komet i mgławic; jak wreszcie utrzymuje się ład i porządek téj nieskończoności stworzonego i wciąż tworzącego się świata. Jakoż szanowny nasz autor zbliża się wielekroć w dziele swojém do realistyczno-filozoficznego przedstawienia rzeczy. Jemu jest ciągle na uwadze myśl przewodna: jedność w rozliczności, i rozliczność w jedności. Jest to kompas, którym szczęśliwie steruje po przepaściach wielkiego swojego zadania. Ale czego mu niedostaje, i co badaniom jego odbiera charakter filozofji, — to jest systematyczności. A systematycznością nazywam duchowe i następne rozwijanie się myśli z przyjętéj za pewnik zasady (atom i siła); — to konieczne wewnętrzne parcie do łańcuchowego postępu od znanego do nieznanego, od jednego rozwinionego momentu do logicznego przerzucenia się w następny; — tę mimowolną logiczność takiego a nie innego rozprowadzenia myśli; — tę żywotność ducha, który się sam wije i rozwija od atomu i siły, do organicznéj całości ogromu, do mądrości i porządku wszech rzeczy stworzonych.

Co nazywamy metodą wykładu czyli jego wewnętrzną formą, nie jest to coś zewnątrz naniesionego, nie jako ramy takiego lub owakiego kształtu, w które się treść wkłada. Nie, ponieważ to jest forma wewnętrzna, więc z istoty samego przedmiotu wyniknąć powinna. Duch sobie sam formę nadaje, nie dowolną ale właściwą, jak słowo w stosowny wyraz mowy ludzkiéj się obleka, jak myśl w odpowiednie zdanie się upostacia. Tę wielką wartość ma filozofja Hegla, że metodę swoją dyalektyczną z dyalektyką saméj filozofji zidentyfikowała. Ale i każda inna metoda musi z treści swojéj wypływać, jeżeli rzecz ma się przedstawić jako filozofja. Takiéj metody nie znajdujemy w dziele p. Levittoux.

Autor słusznie zauważa w odpowiedzi na recenzję jednego z swoich krytyków warszawskich: „stanowczo odmawiam tytułu filozofa człowiekowi, który nie znając anatomji i fizjologji, bierze się do filozofji władz ducha.“ Wszakże równém prawem odmówićby trzeba tytułu filozofa dokładnemu znawcy władz ducha, co pisze ich filozofję a filozofji nie zna. Nie można p. Levittoux zarzucić nieznajomości filozofji. Musiała ona stanowić część jego studjów. Potrąca o nią wielekroć w piśmie swojém. Wnoszę, że nawet znajomość nowszych systemów nie jest mu obcą. Ale zapracowany na naukach medycznych, oswojony dokładnie z pierwszymi mistrzami nauk przyrodniczych szkoły francuzkiéj, mógł sposobem Jana Śniadeckiego i Mickiewicza zapatrywać się na potworność i nieużyteczność niemieckiéj filozofji; a że nie przytacza żadnego z filozofów, co o filozofji natury pisali, wnosićby można, że takowych nie robił przedmiotem znakomitych zkądinąd badań swoich przyrodniczych.

Pisząc o atomie i o siłach, nie pozyskał przez to nazwy filozofa atomisty lub dynamisty. Możnaby go tylko nazwać fizykiem zapatrującym się na naturę z atomistycznego i dynamistycznego stanowiska. Bo nie dosyć pisać o atomie i sile, ale, położywszy je za zasadę swych badań filozoficznych, trzeba z jednego i z drugiéj wysnuć metodę filozoficzną, by nią rozwinąć cały system natury. A tego się w pracy p. Levittoux dopatrzeć nie możemy. Brak tam systematycznego rozwoju i tego wewnętrznego popędu myśli zasadniczéj, która wszystkie następstwa z konieczności z siebie saméj rozsnuwa.

Jaką była filozofja atomistyczna Demokryta z Abdery, zupełnie nam niewiadomo, bo tylko szczupłe po nim pozostały fragmenta, które zebrali Stephanus i Orelli. Ale szkoła atomistów, założona przez Leucyppa, była nowszą szkołą Eleatów i powstała ze szkoły dawniejszéj Eleatów, do któréj należeli Xenophanes z Kolofonu, Parmenides i Zenon, obydwaj z Elei. Z tych pierwszy położył zasadę odwiecznego bytu istniejącego w tém wszystkiém, co jest myślą i prawem natury; drugi był dogmatykiem, wyróżniającym ideę wszechrozumu od wiadomości, jakie z doświadczenia nabieramy; trzeci nareszcie wykształcił dyalektykę. Wnosić ztąd powinniśmy, że i nowsza szkoła Eleatów, jakkolwiek na doświadczeniu i na naturze się oparła, była osobnym systemem filozofji, rozwijającym metodycznie przyjętą zasadę atomu, do jakiéjś organicznéj całości. Wniosek ten tém bardziéj usprawiedliwiony, że z téj szkoły wyszły tak głośne w starożytności imiona, jak Protagoras i Anaxarchos, obydwaj z Abdery.

Jakkolwiek przecież stanowiska autora i krytyka są różne pod względem zapatrywania się na filozoficzne przedstawienie przedmiotu tak ogromnego, jakim jest natura, to jednak z tego nie wynika, aby dzieło p. Levittoux, czy ono się filozofją natury, czy fizyką lub systemem natury nazywać będzie, nie zasługiwało ze wszech miar na uwagę uczonéj publiczności. Sądzę i owszém, że mianowicie francuzkie wydanie: Philosophie de la nature. znajdzie mianowicie we Francji, gdzie filozofja idealna nie popłaca, należyte uznanie, nietylko jako oparte na francuzkich badaniach, ale zbogacone wielce własnemi, znakomitemi pomysłami autora, w kwestjach najwyższéj wagi, bo w kwestjach tajemnic natury i więcéj jeszcze tajemniczego wszechświata.

O zaletach tego dzieła jużeśmy się w recenzji naszéj rozpisali. Nie pozostaje nam, jak w własném imieniu, zapewnić publicznie Szanownego Autora o naszym szacunku i poważaniu, a w imieniu nauki, zachęcić go do nieustawania w pracy, z taką rozległą znajomością rzeczy i z rzadkim talentem ścisłéj obserwacji w jego Filozofji natury dokonanéj.

Dr. Karol Libelt.

KAJETAN WĘGIERSKI.

Studjum literackie

Walerego Przyborowskiego.

......Pisarz jest to natężona struna na arfie bytu — z któréj dłoń ducha czasu sobie właściwe i odpowiednie tony wydobywa.....

Z moich notatek.

(Ciąg dalszy.)

A jak wyższe warstwy były ze szczętem zepsute, tak niższe innego rodzaju robak trawił i gangrenował. Zachowała się tam wprawdzie jeszcze surowość i prostota obyczajów, religijność i cnoty, ale pod powiewem nowego ducha wytwarza się potworny egoizm, obojętność na najświętsze kwestje, domatorstwo, myśl o robieniu pieniędzy. W tym kierunku typową postacią jest taki Bartłomiéj Michałowski, Ochocki, Sagatyński, Karpiński i t. d. Ten ostatni, niby poeta a całe życie kłania się panom by wyżebrać chléba kawałek — samolub do wy-

sokiego stopnia, myśli tylko o sobie — religjant i moralista a bezwstydem rażą własne opisy jego miłostek, jakich kilka miał w życiu[1]). Dziwna obojętność jest wreszcie ogólną prawie cechą tamtoczesnéj szlachty. Nawet ks. Kitowicz nie jest tu wyjątkiem. Jest to bowiem człowiek mający swoją własną, parafiańską politykę — co téj może szkodzić, to tylko, to go oburza... Smutny i rozpaczliwy jest obraz kraju w onym XVIII wieku. „Pieniactwo, powiada współczesny pisarz[2]), stało się sposobem do życia i zebrania majątku dla szlachcica — więcéj powiem, zostawiali patronowie w dziedzictwo synom swoim, lub zięciom w posagu papiéry w sprawie jakiéj ważnéj z zaleceniem jak najdłuższego jéj przeciągania i ztąd zrobienia majątku — podsuwali takie wyrazy w dekreta trybunalskie lub assesorskie, używani do rady od słabego sądu, aby sprawy znów mogły z jakiéj ustronnéj kategorji, wracać się i otwierać nowe pole dla ich zdzierstwa..." „Zbytek zajął miejsce prostoty obyczajów, woła inny pisarz[3]), podłość miejsce szlachetnéj ambicji, zniewieściałość miejsce waleczności." Przedajność głosu dochodzi do maximum „podczas elekcji, mówi ks. Kitowicz[4]), znaczne zyski zazwyczaj spływały na szlachtę owych czasów, kiedy się kilku kandydatów a jeszcze cudzoziemców do korony ubiegało, że się prawie same dukaty do kieszeni cisnęły a wino zewsząd strumieniami do gardła płynęło..." Nawet osobistości zkądinąd uczciwe i bohaterskie, nie wstydzą się wcale sprzedawać swego głosu, — tak poziom godności obywatelskiéj był nizki. Przykładem niech służy raz już wspomniany Michał Strawiński, który w r. 1754 przekupiony od donatarjuszów ordynacji ostrogskiéj, zrywa sejm w Warszawie. Był wtedy posłem z powiatu starodubskiego[5]). Wreszcie takich przykładów możnaby tysiącami nacytować, że już nie wspomnę o gorszącéj sprawie wywołanéj z tego powodu na jednym z sejmów za Augusta III[6]). Drugą kardynalną i niezmiernie powszechną wadą owoczesną było pijaństwo. Tu już wyjątków nie znajdujemy. „Taki szlachcic co trzeźwość zachowywał, opowiada Kitowicz[7]), w swém domu nie wielką miał estymację, nie wiele wart był w kompanji i pospolicie nazywano go francuzem, moderatem, wędzikiszką", a daléj[8]) „panowie wielcy starali się o pijaków, którzy lubili trząsać sejmikami i rej wodzić po wszystkich magistraturach. Gdy albowiem w narodzie nic nie można było zrobić bez pijaństwa, czy to zgodę jaką, czy elekcję, czy interes własny utrzymać, nie oblawszy go trunkiem jakim, podług wartości osób, należycie, sama zatém rzecz zniewalała panów do konserwacji przy boku swoim głów, na wszelkie trunki jak najmocniejszych, którzyby ich w takowéj potrzebie gardłem swoim zastępowali — gdy tymczasem panowie, takowém zastępstwem cokolwiek przy lepszym rozumie zostawieni, zamroczone rozumy, albo raczéj machiny bezrozumne, do swoich zamiarów nakręcali..." Ztąd też pojawiają się w téj epoce głośni pijacy, jak ów pan Małachowski na Bąkowéj Górze — jak książę Panie kochanku Karol Radziwiłł, wojewoda wileński. Ten ostatni „był prawie zawsze pijanym" jak mówi autentyczne ówczesne źródło[1]) i to „pijaństwo ustawiczne nawet mu rozeznać między dobrą i złą wolą swoich konsyljarzów niedozwalało"[2]). Książe Panie kochanku wreszcie jest typem uczciwéj ówczesnéj szlachetczyzny — ciemny, nieuk, pijak, zapalczywy, oponent dworu i nowego ducha, bohater nakoniec kiedy tego potrzeba, miłuje kraj nadewszystko. Znał on dobrze wady swego wychowania, czuł co winien był swemu imieniowi — ale słaba głowa, upadł, rzucany na wsze strony przez wszystkich, kto tylko chciał lub nie chciał. Pomimo jednak ześrodkowania w sobie całéj surowości staropolskich obyczajów, jego legja albańska dowodzi, jak daleko zapuścił w rdzeń konarów społecznych, robak zepsucia gangrenę. Legja ta odznaczała się szaloną odwagą, to prawda, ale i burdami a nawet częstokroć gwałceniem kobiét[3]).

Kardynalną jednak cechą całéj owoczesnéj szlachetczyzny, jest dziwna niechęć ku wszelkim ruchom, coby mogły ich sielski i samowładny na swych śmieciach żywot zamięszać. Domatorstwo i sielankowość ta wzrasta z każdą chwilą, okupywana wszystkiem, nawet całością kraju i godnością własną. Za Augusta III, podczas kiedy Europa kąpie się we krwi siedmioletniéj wojny, Polska rozpoczyna hulaszczy karnawał swego żywota, który wkrótce się miał straszliwie, niestety, skończyć. Rzeczpospolita owoczesna na zewnątrz wygląda jak trup milczący, uśpiony, z tym królem Sasem, idjotą, na czele, który przez całe życie nie mógł się nawet języka polskiego wyuczyć[1]) — wewnątrz zaś trawiony robactwem, które już stypę pogrzebową gotuje sobie wśród głuchego szmeru. Nieład wewnętrzny, brak poczucia godności własnéj w jednostkach, a co zatém idzie, i w narodzie całym, ciągłe zrywanie sejmów, nietolerancja religijna i wyuzdany fanatyzm, jak tego dowodzi sprawa toruńska — oto obraz Polski saskiéj. A przyświeca temu August III i minister jego, pochlebca, ukryty nabożniś[5]). A poniżéj, lud codzień nieszczęśliwszy, bo posiadacze majątków, starając się wszelkiemi siłami powiększyć dochody, ciemiężyli chłopa[6]).

W takim stanie kraju zasiadł na tronie Stanisław August, „jak upiór zsiniały na grobie", że użyję wyrażenia współczesnego pisarza. Z nim pojawiają się nowe wyobrażenia i rozpoczyna się rozkład socjalny staréj Respubliki. To też w téj chwili w obozie szlacheckim rozlegają się żale, za szczęśliwemi i spokojnemi chwilami panowania Augusta III. „Polska, woła współczesny pisarz[7]), nie miała szczęśliwszych czasów i podobno więcéj takich mieć nie będzie, jak były pod słodkiém panowaniem Augusta III, przeciw któremu niewdzięczność Polaków sprawiedliwie ukarały niebiosa następném panowaniem..." Są to ostatnie chwile szczęścia w istocie dla zaściankowéj polityki szlacheckiéj Rzeczypospolitéj — kona już ona, jeszcze raz jasnym blaskiem bohaterstwa błysnąwszy w Barze, wraz z ostatnim dźwiękiem nieskończonéj pieśni Michała Ogińskiego... A obok niéj, drgającéj jeszcze w konwulsjach śmierci, hula i szydzi i śmieje się nowy świat, poroniony płód trupiego nasienia, którego charakterystycznym wyrazem jest Kajetan Węgierski — o nim więc teraz mówić będę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

[1]) Pamiętniki Franciszka Karpińskiego
[2]) Próbka pióra bezstronnego obywatela. — Wstęp.
[3]) Życie Sulkowskiego Hortenzjusza de Saint-Albin, p. 17.
[4]) Pamiętniki (edycja A. Wójkowskiego) p. 82.
[5]) Ibidem — p. 28.
[6]) Czytaj Henryka Szmitta: Panowanie Augusta III.
[7]) Pamiętniki (edycja I. Łukaszewicza) III, p. 139.
[8]) Ibidem III, p. 141.

[1]) Rulhière — Histoire de Pologne III, p. 114. Pamiętniki Kitowicza III, p. 129.
[2]) Kitowicz (edycja A. Wojkowskiego p. 80.
[3]) Rulhière — Histoire de Pologne II, p. 54.
[4]) Rulhière — Histoire de Pologne I, p. 176.
[5]) Ibidem — I, p. 179.
[6]) Ibidem — I, p. 184.
[7]) Kitowicz (edycja A. Wójkowskiego) p. 3.

HISTORJA SIWEGO WŁOSA.

Powieść

Władysława Łozińskiego.

(Dalszy ciąg.)

— Mój panie — odezwał się jadowitym tonem Sauger, chowając pieniądze do swych bezdennych kieszeni — czy pan wiesz, że to gwałt był, i że ja...

Zyberg nie dał mu skończyć, ale zbliżając się do niego i mierząc go groźnie wzrokiem, zawołał:

— Słuchajże Sauger, jeszcze jedno słówko mam do powiedzenia. Ty wiesz doskonale, że twoje postąpienie z moim bratankiem, któregoś o śmierć przyprawił, było zbrodnią i oszustwem, i to nietylko zbrodnią w obec Boga i sumienia, ale zbrodnią w obec sądów; ty wiesz o tém, ale nie wiesz zapewne, że w moim ręku znajdują się najzupełniejsze dowody téj zbrodni, i że wystarczy tylko słówko jedno, aby cię osadzić tam, gdzie ci się oddawna należy miejsce, w kryminale. Uśmiechasz się na to, bo wiesz, że jeźli tego dotychczas nie uczyniłem, to nie przez pobłażliwość dla ciebie, ale przez wzgląd na poczciwe imię, które noszę, a które nosił także mój brataniec. Nie chciałem téj sprawy wywlekać przed sąd sprawiedliwości ludzkiéj. Ale to był wstyd fałszywy, i ja ten wstyd pokonać potrafię. Honor osób, na który godzisz, jest mi tak drogi, jak honor mego nieboszczyka bratańca, jak honor mój własny, i przysięgam ci, Sauger, na wszystko, co mi święte, że wytoczę ci śledztwo i do kryminału wsadzę, jeźli szepniesz kiedykolwiek słówko o téj sprawie całéj! Pogrzeb ją wraz z innemi twemi brudnemi tajemnicami, rzuć ją w głąb twéj czarnéj duszy, w któréj już tyle strasznych zbrodni spoczywa! Dziś jeszcze jadę do Lwowa i zaraz składam wszystkie dowody przeciw tobie u mego adwokata. Najmniejsza niedyskrecja z twojéj strony, a obaczysz, czy się nie sprawdzą moje słowa!

Rzekłszy te słowa tonem stanowczym i energicznym, który tak imponował Saugerowi, kapitan otworzył drzwi i wyszedł. Siadłszy na konia, popędził galopem do Drużkowa, i tu nie odpowiadając nawet nic na pytania rodziny i na jéj czułe wymówki, kazał natychmiast zaprządz konie i pojechał do Lwowa.

Późno w nocy przybył Zyberg do miasta. Przenocował w hotelu, a nazajutrz rano wysłał komisjonera po adres Jarskiego. Skoro o adresie się dowiedział, udał się natychmiast na miejsce wskazane. Jarski mieszkał na jednéj z najokazalszych ulic. Przed pomieszkaniem jego stał parokonny fjakier. Kapitan mijając go, zapytał woźnicę:

— Na kogo czekasz?

— Pan hrabia Jarski mnie zamówił.

— Dokąd jedzie?

— Nie wiem, gdzieś na wieś pojedziemy, na kilka mil z miasta.

Zyberg uśmiechnął się zlekka. Domyślił się, dokąd zamierzał jechać Jarski. I dla naszych czytelników nie będzie to zagadką. Dzień, w którym zamyślał Zyberg zrobić niespodziewaną wizytę Jarskiemu, był właśnie owym dniem żądanéj przez Oktawa schadzki, którego przebieg opisaliśmy w poprzednim rozdziale.

Z surową miną i kręcąc swój wąs biały, udał się Zyberg na pierwsze piętro, gdzie mieszkał Oktaw. W przedpokoju zastał lokaja w świetnéj liberji.

— Pan hrabia w domu?

Lokaj zmierzył gościa od stóp do głowy i poczytując go może za jakiego niecierpliwego rzemieślnika, bo kapitan ubrany był w szaraczkową swą kapotę, chciał już dać jedną z zwykłych w takich razach odpowiedzi, gdy spotkawszy się z groźnym i imponującym wzrokiem kapitana, spuścił z tonu i odpowiedział z zakłopotaniem:

— Jaśnie pan w domu, ale na wyjezdném, nie wiem czy przyjmuje... pójdę się dowiedzieć...

— Niepotrzeba... — odparł krótko Zyberg i odsuwając na bok lokaja, poszedł wprost do pokoju.

Jarski ubrany był po podróżnemu i właśnie miał wychodzić z pokoju. Zobaczywszy niezameldowanego gościa stanął i niechętnie spojrzał na kapitana, niezdejmując nawet kapelusza, który już miał na głowie.

— Przepraszam — rzekł Oktaw szorstko — ale czy nie powiedział panu lokaj, że wyjeżdżam natychmiast i że ani pół minuty stracić nie mogę?

— Słyszałem o tém, ale...

— Ale?... — zapytał tonem niegrzecznym i aroganckim zniecierpliwiony Jarski.

— Ale ponieważ pan n i e p o j e d z i e s z — odparł z spokojnym naciskiem Zyberg — więc nie będę przeszkadzał panu.

Oktaw spojrzał z gniewem i z zdziwieniem na swego nieproszonego gościa. Posunął się ku drzwiom do przedpokoju i zawołał głośno:

— Czy fjakier czeka!?

— Czeka, jaśnie panie! — odpowiedział lokaj.

— Jeżeli czeka – wmięszał się teraz tonem stanowczym Zyberg — to go odpraw! Rozumiesz! Niech jedzie do domu, pan hrabia zostanie!

I zamykając drzwi do przedpokoju, przystąpił bliżéj do Jarskiego i rzekł:

— Jestem kapitan Zyberg i przybywam właśnie ztamtąd dokąd ty chciałeś jechać, mój panie! Proszę mi wierzyć, w Zbrojnéj nikt cię nie oczekuje!

Jarski z najwyższém zdumieniem a prawie z przestrachem spojrzał na kapitana i cofnął się mimowolnie.

— Proszę zostać — mówił daléj Zyberg, mierząc ciągle surowym wzrokiem Jarskiego — i proszę się rozbierać, a radzę zacząć od kapelusza...

Jarski machinalnie zdjął kapelusz, ale tak był pomięszany, że przez chwilę do słowa przyjść nie mógł.

— Mój panie — rzekł nareszcie, ale niepewnym głosem — nie mam przyjemności znać pana, pierwszy raz słyszę nazwisko pańskie, i nie pojmuję, co to wszystko znaczy?

— Mój panie — odparł silnym i powolnym tonem Zyberg — nie mam także przyjemności znać pana, pierwszy raz czytałem wczoraj jego nazwisko tuż obok damy, która takiego sąsiedztwa pewnie sobie nie życzyła a właśnie przychodzę się zapytać, co to znaczy?

Po twarzy Oktawa przebiegł żywy rumieniec, i natychmiast ustąpił miejsca śmiertelnéj bladości.

— Nie rozumiem... — wyjąknął w najwyższém pomięszaniu, choć słowa Zyberga były dlań w przerażający sposób wyraźne.

— Wytłomaczę to panu bardzo jasno — odparł surowo Zyberg, dobywając z kieszeni fatalny wexel. — Przypatrz się pan temu skrawkowi papiéru! Dopuściłeś się haniebnego czynu, mój paniczu, naraziłeś twoją własną sławę i sławę niewinnéj kobiéty, rzuciłeś na brudną kartę własny los i szczęście twojéj matki, splamiłeś imię twego ojca, któregom znał i cenił wysoko, panie Jarski!

Słowa te uderzyły w Oktawa siłą piorunu... Postać jego złamała się pod tym strasznym wyrzutem. Oparł się o ścianę, zakrył twarz pochyloną rękami i nic nie mówił. Kapitan chwilę patrzył na ten widok mło-

dzieńca, który znalazł się po raz pierwszy w życiu w straszném położeniu, oko w oko z sromotą...

— Co pań na to odpowiesz? — rzekł po chwili milczenia.

Jarski odkrył twarz swoją, która się zmieniła wyrazem nieopisanego wzburzenia, wyprostował się prawie dumnie, i postępując naprzód, zawołał:

— Odpowiem panu na to, żeś pan powiedział prawdę. Odpowiem panu na to, że w tej chwili czuję, żem popełnił czyn podły, lecz przysięgam panu, że dając się skłonić do tego postępku, za niewinny żart go prawie uważałem. Odpowiem ci daléj na to, panie kapitanie, że dług mój spłacę, tak jak się długi podobne płacą. Jesteś żołnierzem, panie Zyberg, więc otwarcie pomówię z tobą. Opuść mnie pan na chwilę, zostaw mnie samego, a nim zejdziesz ze schodów, uczynię, co mi jeszcze uczynić pozostaje!

Tu Jarski ruchem dziwnie stanowczym choć przelotnym wskazał na pistolety, które leżały obok na stole.

— Wierzę ci, że uczyniłbyś to bez namysłu! — odparł poważnie kapitan — bo wierzę ci, że twoja nierozwaga stanęła dziś przed tobą straszliwym upiorem! Ale to mój chłopcze zły sposób płacenia długów! Czy myślisz, że kula honor salwuje? Wierzaj mi, mój młokosie, że znam się na prawidłach honoru, bom posiwiał w jego służbie i w posłuszeństwie jego prawom. Szczególny jest ten wasz kodex honorowy, wy nowożytni rycerze! Dziś mam wyobrażenie o tobie, żeś lekkomyślny chłopak i nic więcéj, gdy sobie w łeb palniesz, pogardzać będę tobą, bo się okażesz złym człowiekiem, złym katolikiem, złym synem nareszcie. Nie płać długów i przewinień śmiercią, bo taka śmierć, to nowe oszustwo, ale płać je życiem twojém całém przyszłém! Jesteś młody i ledwie żyć zacząłeś, masz czas naprawić wszystko!

— Cóż mogę uczynić! — zawołał Jarski — cóż mi pozostaje innego nad samobójstwo. Coś powiedział kapitanie, prawdą jest, ale czyż można przeżyć hańbę?

— O wy wyznawcy szlachetnéj ambicji! — zawołał z gorzkim uśmiechem Zyberg — odkąd się u was hańba zaczyna? Czyż nie zaczyna się ona z chwilą, kiedyś zły postępek popełnił? Czyż nie zhańbiłeś się już wtedy!

— Ale nikt o hańbie méj nie wiedział! — szepnął Oktaw drżącym głosem.

— A tyś nie wiedział, panie Oktawie? Kto się siebie nie wstydzi, nie ma już szlachetnego powodu wstydzić się drugich!

— Więc cóż pocznę, przez litość! — zawołał Jarski. — Sam widzisz, panie kapitanie, że jestem zgubionym! Przeklęty lichwiarz, zdradził mnie ohydnie! Kto panu dał ten wexel okropny? Ona?

— Co za ona? — zapytał surowo Zyberg.

— Czy widziała go hrabina Rokicka?

— Nie widział go nikt prócz mnie! — rzekł Zyberg. — Powtarzam, nie widział go nikt prócz mnie i nikt go widzieć nie będzie! Jestem starcem i umiem być wyrozumiałym, straciłem przez podobny wypadek drogą mi osobę, i umiem mieć litość! Nie przyszedłem się pastwić nad tobą, ale chciałem ci dać naukę. Korzystaj z niéj chłopcze, póki masz czas ku temu! Wexel wykupiłem od Saugera sam, i nikt o nim nie wie, prócz mnie i jego. Ja będę milczał, a on musi milczeć... Postarałem się o to...

Rzekłszy to, kapitan wziął wexel i podarł go w tysiąc drobnych kawałczyków.

Jarski stał niemy, osłupiały, i słówka przemówić nie mógł. Bladość twarzy tylko i kurczowe drganie ust zdradzały, co się działo w jego piersiach...

— Zniszczyłem dowód twego występku — mówił daléj Zyberg — bo chcę, abyś to, czego od ciebie teraz żądać będę, uczynił dobrowolnie i z szlachetnéj powolności, a nie pod naciskiem przymusu i obawy.

— O szlachetny panie! — zawołał teraz Jarski z gwałtownym wybuchem szczęścia i uchwycił za dłonie kapitana.

— Zniszczyłem dokument, który wykupiłem pożyczonym groszem, a wiedzieć musisz, żem człowiek ubogi. Czy masz odwagę teraz w łeb sobie strzelić? Nie, nie miałbyś téj niezaszczytnéj odwagi. Posłuchajże teraz, czego żądam od ciebie.

— Rozkaż, kapitanie, wszystko uczynię!

— Weź pióro i papiér, podyktuję ci list do matki!

Oktaw posłuszny jak dziecko usiadł przy biórku.

Powaga imponująca Zyberga, energja, która tchnęła dziwną siłą z każdego słowa jego, a z pod któréj przecież przebijało się serce szlachetne i wspaniałomyślne, sytuacja, w któréj kapitan stanął przed Oktawem, wszystko to takie głębokie sprawiło wrażenie na Oktawie, że gotów był do najmachinalniejszego posłuszeństwa, że czuł nieprzezwyciężony jakiś wpływ silniejszego charakteru nad sobą, że w końcu zadowolonym był z tego, iż jakaś mocna dłoń kieruje nim jak niedołężném, słabem dzieckiem...

Zyberg myślał przez krótką chwilkę, a potém dyktować mu począł:

— „Najdroższa matko dobrodziejko!“ To stary styl trochę, nieprawdaż? Zapewne pisywałeś dawniéj „Chère maman“? Proszę, zastosuj się tym razem do starego, który nigdy inaczéj do swéj matki nie pisał, nigdy w francuzkie czułostki z nią się nie wdawał, ale, Bóg widzi, nigdy jéj serca nie zasmucił.... Czy napisałeś?

Oktaw potwierdził skinieniem głowy.

— Pokaż tedy Wasze, panie hrabio — rzekł Zyberg i rzuciwszy wzrok na napisane wyrazy, dodał: — Źle mój chłopcze, nie jesteś mężczyzną! Ręka ci drży... patrz jak to poznać po piśmie! Czy kochasz twoją matkę, panie Oktawie?

— Czy ją kocham? — powtórzył Jarski z dziwném wzruszeniem, które dobroczynnie wpłynęło na jego rozpaczliwie usposobiony umysł.

— W jednéj z bitw, a byłem w niejednéj — rzekł Zyberg — zostałem silnie zranionym w prawe ramię. Gdy mnie odniesiono do lazaretu, nie dałem się pierwéj opatrzyć, dopóki nie napisałem listu do méj matki. Wiedziałem, że go oczekiwać będzie w bolesnéj niepewności. Chciałem tedy, aby wraz z wieścią o bitwie, otrzymała zaraz i wiadomość o mojém życiu. Nademną stał lekarz z instrumentem, którym miał mi wyciągać kulę. Czułem ból w ramieniu okropny, ręka mi trętwiała, a bałem się bardzo, aby po drżącym charakterze mego pisma matka nie odgadła, żem ranny. Serce matki jasnowidzącém jest, panie Jarski... Wtedy pomyślałem o tém, jak ona mnie kocha, ta biedna matka moja, i jak ją srodze zasmucę, jeśli czémkolwiek zdradzę, żem ranny. Zebrałem całą siłę mego ducha i napisałem list tak silnym i pewnym duktem, jakiego nigdy nie miałem przedtém przy zdrowéj ręce. Pisz pan, panie Oktawie: „Najdroższa matko dobrodziejko!“

Jarski chwilkę siedział nieruchomy, a nagle posunął piórem i podyktowane słowa napisał ręką silną, wyraźną, energiczną.

— Brawo, mój chłopcze! — zawołał kapitan — teraz wierzę, że to co napiszesz, będzie prawdą. Pisz tedy daléj.

I Zyberg znowu począł dyktować:

„Kilka ostatnich miesięcy mego życia przekonało mnie, że oboje, kochana mamo, łudziliśmy się co do łatwości świetnéj karjery dla mnie. Myślałem do niedawna jeszcze, że dość jest nazywać się Jarskim, dość wywodzić się z krwi dostojnéj i szlachetnéj, błyszczeć pozornym szykiem i zgrabnie figurować w salonach, aby szczęście samo zleciało w moje ramiona. Szczęście ślepe

tylko niedołężnych proteguje, a ty niechciałabyś mamo, aby twój syn był niedołężnym faworytem losu. Kazałaś mi być dumnym z moich przodków, matko kochana, a ja nie mógłbym wykonać tyle drogiego mi życzenia, gdybym ociągał się jeszcze dłużéj z spojrzeniem życiu w oczy, śmiało i mężnie, jak Jarskiemu przystoi. Tobie wolno marzyć, dla tego że mnie kochasz, mnie nie wolno iść za twoim przykładem, także dla tego, że cię kocham. Nie będzie miał nigdy jutra, kto niema nigdy „dzisiaj.“ Dla tego też powiedziałem sobie, dzisiaj rozpocznę inne życie, dzisiaj wstąpię na drogę jakiegokolwiek poważnego obowiązku, abyś ty droga matko, mogła mi kiedyś powiedzieć, że twoje marzenia były słuszne. Muszę przestać się łudzić, abyś Ty się rozczarować nie potrzebowała. Skłonności moje ciągną mnie do stanu wojskowego, a jenerał Rokicki dał mi przykład że go mam pojmować nie jako zabawkę, ale jako poważną, trudną rycerską naukę. Jutro wyjeżdżam, a drugi list otrzymasz odemnie z pułkowéj stacji, któréj jeszcze nie mogę ci wymienić. Otrzymasz list od szeregowca, a stopień to bardzo zaszczytny, bo pierwszym jest do szlif jeneralskich. Proszę Cię o błogosławieństwo Twoje, moja kochana mamo!“

Zyberg skończył dyktować.

— Czy podpiszesz ten list, panie Jarski? — zapytał.

— Już podpisałem! — odparł żywo i energicznie Oktaw.

— Na tém nie koniec — rzekł Zyberg — weź arkusz papiéru i pisz daléj.

Oktaw uczynił, czego kapitan żądał. Zyberg znowu począł dyktować.

— „Ja poniżéj podpisany Oktaw hrabia na Ostrogrodzie Jarski pismem niniejszém się zobowięzuję, konfirmując słowa moje honorem szlacheckim, że w téjże chwili, w któréj tylko możliwém mi to będzie, wypłacę Wielebnemu księdzu Andrzejowi Pliszy, proboszczowi z Zbrojnéj, sześć tysięcy złr. na fundusz szpitalu, który tenże czcigodny kapłan fundować zamyśla, i że sumę tę uważam za dług święty, który uiścić jaknajrychléj będzie nieustanném i najszczerszém mojém staraniem.“

— Podpisz i w pieczęć twoją herbową opatrz! — dodał, skończywszy Zyberg, a gdy mu Oktaw podał skrypt gotowy, kapitan schował go starannie i rzekł:

— Dziś jeszcze list wyślesz do matki, nieprawdaż, panie Oktawie? Rokickiemu sam powiem, co postanowiłeś z sobą, a pewnie go to ucieszy. A teraz żegnam cię, mości hrabio!

I z dobrotliwym wyrazem na swéj sędziwéj twarzy podał rękę Jarskiemu, który ją z najwyższym szacunkiem i z wdzięczném uniesieniem uścisKał.

Wróciwszy od Jarskiego, Zyberg natychmiast siadł na wózek i pojechał do domu. Z oczów jego poczciwych przebijało się zadowolenie, jak zawsze po dobrym uczynku. Na chwilę tylko posmutniała mu twarz, gdy szepnął sam do siebie:

— Biedny Antoni! Nié mogłoż się i z nim tak skończyć!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TRZY SPOTKANIA.

(Z Turgenjewa).

(Dokończenie.)

II.

Trzy lata ubiegły. Większą ich część spędziłem w Petersburgu lub też za granicą, a choć czasami zaglądałem do dóbr moich, było to jednak zazwyczaj najwyżéj na dni parę, tak że nie zdarzyła mi się ani razu sposobność zrobienia wycieczki do Glinnoje lub do Michajłowskoje. I mojéj pięknéj nieznajoméj nie spotkałem już nigdzie; owego mężczyzny również. Raz jednak, było to już w końcu trzeciego roku, zeszedłem się przypadkowo na jakiémś wieczorném zebraniu w Moskwie, z panią Szlikow i jéj siostrą, Pelagją Badajew — tą samą Pelagją, którą dotąd uważałem za jakąś bajeczną postać. Obie panie były już niemłode, zresztą jednak dość przyjemnéj powierzchowności; rozmowa ich odznaczała się bystrością poglądów, podróżowały wiele i nie bez korzyści; w obejściu ich przebijała nieprzymuszona wesołość. Mimo to między niemi a moją nieznajomą nie mogło być nic wspólnego. Zostałem im przedstawiony. Rozmawiałem z panią Szlikow, podczas gdy jakiś geolog, cudzoziemiec, bawił jéj siostrę; opowiadałem jéj, że miałem przyjemność sąsiadowania z nią w gubernji X.

— Rzeczywiście, posiadam tam niewielką wioskę w pobliżu Glinnoje.

— Tak, tak, odpowiedziałem; — znam Michajłowskoje. Odwiedzasz je też pani?

— Ja? — rzadko bardzo.

— Nie byłaś tam pani przed trzema laty?

— Pozwól pan, zdaje mi się, — w istocie byłam tam właśnie w tym czasie.

— Z siostrą czy też sama?

Spojrzała na mnie.

— Tak, z siostrą. Bawiłyśmy tam tydzień; wyłącznie dla interesów. Dla tego też nie przyjmowałyśmy żadnych wizyt.

— Hm... O ile mi się zdaje, niema też tam wiele sąsiedztw.

— Nie, nie wiele; a i tych nie znam.

— Powiedz mi pani, ciągnąłem: — w owym czasie, jeśli się nie mylę, zdarzył się smutny wypadek. Łukjanicz...

— Więc pan go znałeś? spytała żywo. — Prawdziwe nieszczęście! To był taki dobry stary... i wystaw pan sobie, bez najmniejszego powodu...

— Prawda, potwierdziłem: — wielkie to nieszczęście.

W téj chwili siostra pani Szlikow podeszła ku nam, prawdopodobnie znudzona uczonym wykładem geologa o formacji brzegów Wołgi.

— Wystaw sobie Pelagjo, przemówiła moja towarzyszka: — ten pan znał Łukjanicza.

— Istotnie? Biedny stary!

— Często polowałem w okolicy Michajłowskoje, w czasie gdy pani tam bawiłaś, przed trzema laty, objaśniałem.

— Ja? odpowiedziała Pelagja nieco zdziwiona.

— No tak, naturalnie! szybko wtrąciła siostra: — czyż już nie pamiętasz?

I przy tych słowach wpatrzyła się w jéj oczy nieruchomie.

— A, tak, tak... rzeczywiście! wymówiła Pelagja pospiesznie.

„Ho, ho! pomyślałem, nie zewszystkiém to prawda że tam byłaś.“

— Czyż dziś nie mielibyśmy usłyszeć waszego śpiewu, Pelagjo Teodorówno, spytał niespodzianie jakiś długi młodzieniec z blond czubem i słodko-mdłemi oczyma.

— Nie wiem doprawdy, odpowiedziała panna Badajew.

— Więc pani śpiewa? zawołałem żywo i powstałem z krzesła: — na miłość boską zaśpiewaj nam pani, zaśpiewaj nam pani cośkolwiek!

— Cóż mam panu zaśpiewać?

— Czy nie jest pani znaną, — zacząłem, starając się ile możności okazać obojętnym i swobodnym — włoska piosenka... zaczyna się od słów: p a s s a q u e i' c o l l i?

— Znam ją, odparła równie swobodnie Pelagja. Mamże ją panu zaśpiewać? Chętnie.

I siadła do fortepianu. Słuchałem, wpatrzywszy się, jak Hamlet, w panią Szlikow. Zdawało mi się, że na pierwszy dźwięk piosnki drgnęła; do samego końca jednak pozostała spokojną. Panna Badajew śpiewała nieźle. Piosnka się skończyła — ogólne posypały się oklaski i pochwały. Proszono, żeby jeszcze co więcéj zaśpiewała, ale obie siostry zamieniły z sobą spojrzenie a w kilka minut potém już wychodziły. Gdy opuszczały pokój zdawało mi się, że usłyszałem słowo: i m p o r t u n.

„Słusznie ono ci się należy!“ pomyślałem w duchu — i odtąd nigdzie się już z niemi nie spotkałem.

I znów ubiegł rok jeden. Bawiłem w Petersburgu. Zima nadchodziła, maskowe bale się rozpoczęły. Pewnego wieczora, gdy o jedenastéj opuszczałem jeden z przyjaznych mi domów, czułem się tak ponuro usposobionym, że zdecydowałem się dla rozrywki pójść na maskaradę szlacheckiego klubu. Krążyłem długo wśród filarów i zwierciadeł, z owym przeklęcie skromnym i głęboko zamyślonym wyrazem twarzy, zwykłym w takim razie u najpoważniejszych nawet ludzi; długo krążyłem bezcelnie, od czasu do czasu jakimś żartem uwalniając się od zaczepek domin o wątpliwych koronkach i zużytych rękawiczkach, rzadziéj jeszcze sam je zaczepiając, narażając biedne uszy na hałaśliwe dźwięki trąb i piskliwy odgłos skrzypiec; wreszcie porządnie znudzony, z strasznym bólem głowy, miałem już zamiar powrócić do domu... i... zostałem. Spostrzegłem kobiétę w czarném dominie, opartą o filar, stanąłem, zacząłem jéj się przyglądać, zbliżyłem się — i... czy uwierzysz czytelniku?... poznałem w niéj natychmiast moją nieznajomą. Po czém ją jednak poznałem? byłoż to po tém spojrzeniu, które mi niechcący rzuciła z po za owalnych otworów maski, czy po czarownych linjach jéj ramion i rąk, lub po owym szczególniejszym kobiécym majestacie całéj jéj postaci, czy wreszcie po wewnętrznym głosie, który się nagle zbudził we mnie? nie umiem tego wytłomaczyć, dość, że ją poznałem. Z drżeniem przeszedłem kilka razy koło niéj, serce biło mi silnie. Nie poruszyła się; cała jéj postać zdała się uosobieniem takiéj beznadziejnéj boleści, że mimowolnie przyszły mi na myśl słowa hiszpańskiéj romansy:

Soy un cuadro de tristeza,
Arrimado a la pared*).

Stanąłem za filarem, o który się opierała, nachyliłem głowę do jéj ucha i wymówiłem cicho:

— Passa quei' colli...

Zadrżała całém ciałem i odwróciła się ku mnie. Oczy nasze były tak blisko, że mogłem widzieć jak jéj źrenice rozwarły się szeroko jakby pod wpływem przestrachu. Jedną rękę na pół wysunąwszy, patrzała na mnie.

— Szóstego maja 184* w Sorrento, o dziesiątéj wieczorem w ulicy della Cruce, wymówiłem wolno, nie spuszczając z niéj oczu: — potém, w Rosji w gubernji X. we wsi Michajłowskoje 22 lipca 184*...

Mówiłem po francuzku; przechyliła się nieco w tył, zmierzyła mnie od stóp do głów wzrokiem pełnym zdziwienia i szepnęła wreszcie: „venez!“ Równocześnie opuściła salę; poszedłem za nią.

Szliśmy milcząc. Niepodobieństwem mi jest opisać uczuć, jakich doznawałem, idąc obok niéj. Roskoszny sen, który nagle zamienił się w rzeczywistość... posąg Galatei, co żyjącą istotą zstąpiła ze swego piedestatu przed oczy szalonego miłością Pigmaljona... Nie wierzyłem własnym oczom — ledwie śmiałem oddychać.

Przeszliśmy kilka pokoi... w jednym z nich wreszcie przed sofką, stojącą w framudze okna, zatrzymała się i milcząco upadła na nią. Usiadłem obok niéj.

Zwolna zwróciła głowę ku mnie i uważnie się wpatrzyła.

— Pan... Pan przychodzisz od n i e g o? spytała.

Głos jéj był słabym i zdawał się odmawiać posłuszeństwa...

To pytanie zmięszało mnie cokolwiek.

— Nie... ja nie od niego przychodzę, odparłem jąkając się.

— Czy go znasz?

— Znam go, odpowiedziałem z tajemniczą powagą. Nie chciałem wypaść z raz przyjętéj roli.

— Znasz go. Spojrzała na mnie niedowierzająco, chciała coś powiedzieć, ale wnet spuściła oczy.

— Oczekiwałaś go pani w Sorrento, ciągnąłem daléj: — widziałaś go w Michajłowskoje, jeździłaś z nim pani...

— Jak mogłeś pan... rzuciła.

— O, ja wiem... wiem wszystko...

— Zdaje mi się, że gdzieś widziałam twarz pańską, ciągnęła daléj: — ale nie...

— Nie, jam pani nieznany.

— Czegóż więc pan chcesz?

— Wiem wszystko, powtórzyłem.

Pojmowałem dobrze, że aby skorzystać z znakomitego początku, trzeba było nić tę snuć dłużéj, że powtarzanie „wiem, wiem wszysko“ wkrótce stanie się śmieszném, ale wzruszenie moje było tak silném, to niespodziane spotkanie w takie mnie wprowadziło zdumienie, że kompletnie straciłem głowę i nic innego powiedzieć nie umiałem. A potém, w istocie nie wiedziałem nic więcéj. Czułem, żem się stawał śmiesznym, czułem, że z tajemniczéj, wszystko wiedzącéj istoty, jaką jéj się koniecznie początkowo wydać musiałem, zamieniałem się na przedrzeźniającego błazna... a przecież nie mogłem temu zapobiedz.

— Tak, wiem wszystko, powtórzyłem raz jeszcze.

Obrzuciła mnie spojrzeniem, wstała szybko i chciała się oddalić.

To byłoby jednak zbyt straszném dla mnie. Pochwyciłem jéj rękę.

— Na miłość boską, rozpocząłem — siądź pani i wysłuchaj mnie...

Zdawała się rozważać chwilkę, potém usiadła.

— Powiedziałem pani przed chwilą, przemawiałem gorąco: — że wiem wszystko — to nieprawda! Nic nie wiem, nic zupełnie; nie wiem ani kto pani jesteś, ani kim on jest, a jeżeli udało mi się tém, co przed chwilą mówiłem pod filarem, wprowadzić panią w zdumienie, należy to przypisać wyłącznie przypadkowi szczególniejszemu, niepojętemu, prawdziwie ironicznemu przypadkowi, który mnie dwukrotnie tymże samym nawet sposobem zrobił nieumyślnym świadkiem tego, coś pani może życzyła sobie okryć tajemnicą...

I opowiedziałem jéj wszystko bez dodatków i niczego nie ukrywając: moje spotkanie z nią w Sorrento, w Rosji, nadaremne moje poszukiwania w Michajłow-

*) Jestem obrazem żałoby
O mur opartym.

skoje, nawet rozmowę w Moskwie z panią Szlikow i jéj siostrą.

— Teraz wiesz pani wszystko, dodałem skończywszy moje opowiadanie. — Nie chcę pani mówić, jak głębokie, silne, wstrząsające zrobiłaś na mnie wrażenie: niepodobieństwem bowiem jest zobaczyć cię, pani, i nie zostać oczarowanym. Z drugiéj strony również bezpotrzebném byłoby wyjaśniać, jakiego rodzaju było to wrażenie. Dość ci będzie przypomnić sobie pani w jakich okolicznościach widziałem cię oba razy... Wierz mi pani, nie mam zamiaru oddawać się śmiesznym nadziejom, ale zechciéj zwrócić uwagę na owo niewytłomaczone wzruszenie, które mnie dziś ogarnęło i przebacz mi, przebacz mi pani niezręczny podstęp, do którego się uciekłem, aby uwagę jéj choć na jedną chwilę...

Słuchała moich usprawiedliwiań, ani razu nie podniosłszy głowy.

— Ale czegóż pan chcesz odemnie? — spytała wreszcie.

— Ja?... Ja nie chcę niczego... Zbyt jestem szczęśliwym... Zbyt wiele mam poszanowania dla cudzych tajemnic.

— Czy istotnie? Zdaje mi się przecież, że dotąd... Ale, dodała, nie chcę panu robić zarzutów. Każdy na pańskiém miejscu zrobiłby tożsamo. Potem, los w istocie tak nas koniecznie' ku sobie zbliżał... że to samo daje panu poniekąd prawo do mojéj szczerości. Słuchaj pan: nie należę do tych sentymentalnych kobiét, które przychodzą na bal maskowy, aby pierwszemu lepszemu paplać o swych cierpieniach, które szukają serc współczujących... Nie pragnę współczucia żadnego człowieka; własne moje serce zamarło a dziś tu przyszłam wyłącznie i jedynie na to, aby je ostatecznie pogrzebać.

Przyłożyła chustkę do ust.

— Spodziewam się, ciągnęła, jakby się przezwyciężając: — że nie weźmiesz pan słów moich za zwykłe maskowych zwierzeń wylewy, że dostrzeżesz, jak coś podobnego jest dalekiém odemnie...

I w rzeczy saméj, głos jéj miał coś złowieszczego mimo miękkości jéj organu.

— Jestem Rosjanką, wymówiła po rosyjsku — dotąd posługiwała się francuzkim językiem: — choć w Rosji niewiele żyłam... Imienia mego znać pan nie potrzebujesz. Anna Teodorówna jest moją dawną przyjaciółką i istotnie pod imieniem jéj siostry przybyłam do Michajłowskoje... Wtedy mogłam go tajemnie tylko widywać... Obiegały pogłoski... między nami stały zapory — on nie był wolnym... Przeszkody te zniknęły... ale ten, którego imie miało być mojém, on — w którego towarzystwie mnie pan widziałeś, — opuścił mnie.

Podniosła rękę i milczała przez chwilę.

— Czy istotnie go pan nie znasz? czyś go nigdy nie spotkał?

— Nigdy.

— Cały ten czas spędził on za granicą. Dziś właśnie jest w Rosji... I oto cała moja historja, dodała: — jak pan widzisz, niema w niéj nic tajemniczego, nic niezwykłego.

— A Sorrento? wtrąciłem nieśmiało.

— W Sorrento go poznałam, odparła wolno i zapadła w zadumę.

Milczeliśmy oboje. Jakiegoś dziwnego rodzaju pomięszanie opanowało mnie. Siedziałem obok niéj, obok téj kobiéty, któréj obraz tylokrotnie w snach moich widziany, tak mnie wzruszał i niepokoił, — siedziałem obok niéj i czułem jak mi się serce ściskało zimnem. Wiedziałem już że to spotkanie do niczego nie doprowadzi, że między nią a mną leżała przepaść, i że jak skoro się rozstaniemy, będzie to już na zawsze. Z głową naprzód wysunioną, z opuszczonemi na kolanach rękoma siedziała ona niedbale i obojętnie. Znam ją, tę niedbałą postać nieuleczonego smutku, znam tę obojętność nieodmiennego już nieszczęścia! Tłumy masek przeciągały obok nas: tony „monotonnego i szalejącego“*) walca obijały się o nasze uszy to cicho, jakby z oddali, to w porywających wybuchach; ciężkim smutkiem oddziaływała na mnie ta wesoła balowa muzyka. „Czy to istotnie taż sama kobiéta — myślałem — która mi się wtedy w oknie owego wiejskiego domku ukazała w całym blasku zwycięzkiéj piękności?... A przecież czas pozostawił ją pozornie niezmienioną. Dolna część jéj twarzy, którą dawały widzieć koronki maski, była niemal dziecięcą; pomimo to otaczała ją atmosfera zimna jak statuę.. Galatea wstąpiła znów na swój piedestal marmurowy, aby go już nie opuścić.

Nagle podniosła się nieco, rzuciła okiem do głównego salonu i powstała.

— Podaj mi pan ramię, przemówiła do mnie — chodźmy prędzéj, prędzéj.

Powróciliśmy do salonu. Szła tak prędko, że ledwie mogłem podążyć za jéj krokiem.

Przy jednéj kolumnie zatrzymała się

— Czekajmy tu, szepnęła.

— Czy pani kogo szukasz, spytałem...

Nie uważała na mnie: wzrok jéj nieruchomie utkwił w tłumie. Ponuro i groźnie poglądały jéj czarne oczy z pod czarnego aksamitu maski.

Poszedłem wzrokiem za kierunkiem jéj spojrzeń i zrozumiałem wszystko; w jednéj z bocznych naw sali przechadzał się on, ten człowiek, którego widziałem obok niéj w lesie. Poznałem go natychmiast; prawie nic się nie zmienił. Również pięknie zakręcony miał wąs, równie spokojném, pełném wewnętrznéj pewności siebie weselem błyszczały mu ciemne oczy. Szedł wolno, nieco naprzód pochylony i opowiadał coś kobiécie ubranéj w domino, która opierała się na jego ramieniu Gdy się zrównał z nami, podniósł nagle głowę, rzucił wzrok naprzód na mnie, potem na tę, która stała obok mnie, i poznał ją prawdopodobnie, poznał jéj spojrzenie, bo zlekka drgnęły mu brwi, — spuścił powieki i niedostrzeżony niemal ale nieznośnie hardy, drwiący uśmiech poruszył mu wargi. Pochylił się ku swéj towarzyszce, szepnął jéj kilka słów do ucha, ta obejrzała się szybko, jéj niebieskie oczka przebiegły po nas obojgu i z lekkim uśmiechem pogroziła mu rączką. Wzruszył ramionami; ona przytuliła się zalotnie do niego...

Zwróciłem się do mojéj nieznajoméj. Ścigała wzrokiem oddalającą się parę, nagle wyrwała swoją rękę z pod mego ramienia i pobiegła ku drzwiom. Chciałem za nią podążyć, ale ona się odwróciła i rzuciła mi takie spojrzenie, że stanąłem oniemiały, głębokim tylko żegnając ją ukłonem. Pojąłem, że ścigać ją byłoby niedelikatném i śmieszném.

— Powiedz mi, mój kochany, proszę cię, spytałem w kwadrans może jednego z moich znajomych — żywego informacyjnego kalendarza petersburgskiego: — kto to jest ten wysoki, piękny mężczyzna z blond wąsem?

— Ten?... to cudzoziemiec, dość zagadkowa figura; rzadko się ukazuje na naszym horyzoncie. Czemu pytasz?

— Tak!...

— Powróciłem do domu. Od owego wieczora nie spotkałem już pięknéj nieznajoméj. Gdybym był dowiedział się nazwiska człowieka, którego kochała, łatwiéjby mi przyszło dojść kim ona była, sam jednak tego nie chciałem. Powiedziałem już poprzednio, że kobiéta ta ukazała mi się jak senne widziadło — i jak ono téż przeszła i zniknęła na zawsze.

*) Wiersz z romansu Puszkina „Eugenjusz Onegin“ 1825

POKŁOSIE.

— Przedstawione w ubiegłym tygodniu: dramat Lubowskiego p. t. „Żyd“ i operetka Hertza do słów Szobera p. t. „Lekcja śpiewu“ — nader liczną zgromadziły publiczność. Z pociechą widzimy, że zamilowanie dla sceny narodowéj budzi się u nas coraz bardziéj — i gdy dawniéj dziennikarstwo nasze rozpoczynało zwykle sprawozdania od sakramentalnych słów: „loże świeciły pustkami“ dziś z rozkoszą przyjrzyć się może licznemu zastępowi widzów, którzy te loże zajmują stale. Lecz my porzucimy raz na zawsze przegląd lóż, krzeseł i parteru, a rozpoczynamy notatki nasze od przeglądu sztuki i artystów w niéj występujących. O dramacie „Żyd“ rozpisywano się w swoim czasie dość szeroko. Jedni za, drudzy przeciw honorowaniu dzieła tego byli, — wszyscy jednak zgodzić się musieli na to, że sztuka ta należy do najlepszych, jakie z pod pióra p. Lubowskiego wyszły. Bo ani jego „Ubodzy w salonie“ ani „Żony uczonych“ nie posiadają tego piętna wybitności, jakiém przedewszystkiem dzieło sceniczne odznaczać się winno. W Żydzie podniesiono na nowo sztandar równouprawnienia izraelitów, tylko że nie żyd tym razem lecz chrześcijanin staje się ofiarą — przesądu religijnego, jeśli fanatyzm wyznaniowy tak nazwać można. Hrabia Adam (Wolański) kocha się w ślicznéj Elce (p. Szymańska, debiutantka) córce starego żyda Goldszmita (pan Konarski), któréj znów ojciec przeznacza za zięcia Feinera (p. Dobrzański). Katastrofa spada siłą całą na kochającą się parę — lecz i Goldszmit ukarany jest w ucieczce córki... Wątku dramatycznego tu wiele — tylko w ostatnim akcie chroma on nieco, w chwili, gdy stary żyd proponuje hrabiemu przyjęcie wiary Izraela. Tak debiutanka, jak i wyż wymienieni artyści grali bardzo starannie i niejednokrotne zdobyli sobie oklaski. — W lekcji śpiewu, przedstawionéj w ubiegłą niedzielę, walczyli o lepszą p. Czajkowska i pp. Podwyszyński i Kwieciński, i zdaje nam się, że ten ostatni odniósł stanowcze zwycięztwo. Ruchy, gra i śpiew były w zupełnéj harmonji u tego artysty; to téż oklaski okrywały grę jego rzęsiście. Muzyka Hertza ładna i miła — a libretto lekkie jak puch — i jak puch nikłe. Nie składamy jednak winy na autora, boć sam przyznaje, że w humorze zadanie jego fraszki.

— Krakowskie humorystyczne pisemko Coś, którego ostatni numer od alfy do omegi, jak się wstęp jego wyraża, napisany jest wierszem, zawiera następny trafny wierszyk o ostatnim sejmie:

Czteroletni!

„Bądź jak sejm czteroletni!“ rzekł poseł Chrzanowski
Do sejmu, przedstawiając o oświacie wnioski,
Więc sejm, aby wypełnić co mówca doń prawił,
Jak czteroletni chłopczyk ptaszkami się bawił.

— **Karol Forster** prosi nas o umieszczenie następującego Prospektu:

Ludowi polskiemu **Zdrowe Rady** z pola myślicieli zebrane przynosi szczery jego przyjaciel Karol Forster.

„Żadna nauka nie jest trudniejszą nad naukę życia.“ Seneka.

Szanowni Rodacy!

Wielce życzliwe przyjęcie, jakiego we wszystkich sferach społeczeństwa naszego doznały moje dotychczasowe publikacje, oraz licznie dawane mi zachęty powodują mnie do nowego na téj drodze kroku, przy którym robię odezwę do uczuć miłości chrześcijańskiéj Waszéj. Mówię, do miłości chrześcijańskiéj, ponieważ przy téj publikacji, w któréj przedstawię zdrowe rady znanych myślicieli dla wszystkich stanów społeczeństwa, podaję projekt, w którym przez łatwy udział przyłożyć się każdy może do znacznego moralnego dobra, zwłaszcza dla klas niebędących w stanie kupowania książek, a które jednak najwięcéj u nas potrzebują rozsądnéj, praktycznéj oświaty

Nie lękajcie się, Szanowni Rodacy, téj mojéj Odezwy; ja od Was na ten cel wielkich ofiar nie wymagam. Dając sam, jak dotąd, mój czas i moją pracę i w tym razie bez innego wynagrodzenia nad to, które w sumieniu mojém znajduję, że wiernie dopełniam obowiązków téj misji, jaką Bóg wychodźtwu z r. 1831 na obcéj ziemi w usługach sprawy narodowéj przekazał, przychodzę prosić każdego z Was o przyczynienie się do téj braterskiej subskrypcji tylko 1 talarem (2 złr).

W tym celu przedstawiam następujący projekt:

Książka, którą pod powyższym tytułem wydać zamierzam, składać się będzie z 10 rozdziałów:

I. Rodzina.
II. Dom.
III. Wychowanie i nauka.
IV. Zdrowie.
V. Profesja i interesa.
VI. Pieniądze.
VII. Stosunki społeczne.
VIII. Namiętności. Wady. Przywyknienia
IX. Doświadczenie.
X. Życie i śmierć.

Każdy subskryptor za 1 talara (2 złr) otrzyma dwa egzemplarze tego dziełka. Będzie więc miał jeden dla siebie, a drugi będzie mógł podarować w sposób użyteczny, czy to w swéj rodzinie, czy w klasach potrzebujących oświaty.

W imieniu zaś wszystkich subskryptorów (których lista imienna zostanie wydrukowaną w dziele) zrobionym będzie w ofierze miłości chrześciańskiéj dar dla Zakładów naukowych, Stowarzyszeń przemysłowych i Czytelni ludowych:

50 egzemplarzy dla W. Ks. Poznańskiego,
50 „ „ Prus Zachodnich,
50 „ „ Ziem Krakowskich,
50 „ „ Galicji.

(W Królestwie, równe warunki nastąpią, kiedy dzieło to wolny wstęp do tego kraju uzyska)

Ale plan ten będzie tylko mógł być wykonany, jeżeli zbierze się najmniéj 200 subskryptorów.

Mam nadzieję, że myśl ta znajdzie drogę do dwustu prawych umysłów szczerze pragnących dobra kraju i jego przyszłości, która jedynie na moralnéj sile religji, oświaty, pracy i porządku, na sile zdrowego wewnętrznego organizmu oprzeć się będzie musiała.

Jeżeli subskrypcje dojdą do 300, wówczas zamiast po 50 egzemplarzy, rozdaném będzie powyższym częściom ziem polskich każdéj po 100 egz.

Przyjaciele rozwoju oświaty, którzy w tym celu podpiszą na 3 tal. (6 złr.) otrzymają zamiast sześciu, ośm egzemplarzy.

Lista subskrypcji otwarta do 6go listopada; dzieło wyjdzie w końcu listopada r. b.

Kto ma chęć przystąpić do téj subskrypcji, niechaj mi raczy jaknajrychléj przedpłatę swą z podaniem imienia, nazwiska, miejsca pobytu i najbliższéj poczty w liście frankowanym, lub przez asygnację pocztową nadesłać

Berlin, dnia 19 października 1871.

Karol Forster.
24. Leipziger-Strasse

Toruń 22 października.

Przeszło dwa tygodnie bawił u nas z swém towarzystwem dramatyczném p. Miłosz Sztengel, dyrektor prowincjonalnéj sceny wędrownéj. W czasie tym dano ośm przedstawień, a mianowicie: „Karpackich Górali“, „Krakowiaków i Gorali“ (dwa razy, drugi raz na żądanie), „Barbarę Zapolską“, komedję pod tytułem „Stary piechur i syn jego huzar“, na szóste przedstawienie „Receptę na świekry“ i „Szlachtę czynszową“, siódme przedstawienie stanowiły również dwie komedyjki „Wojna z sąsiadką“ i „Kominiarz i Młynarz“, a na zakończenie dano „Żydów“ Korzeniowskiego.

Mając o przedstawieniach tych wydać sąd ryczałtowy, powiedzieć należy, że wszystkie sztuki odegrane były dobrze; szczególniéj „Barbara Zapolska“ i „Żydzi“ zadowolić mogły wybredniejszą nawet publiczność, niewyłączając zaimprowizowanéj

w miejsce innéj sztuczki z powodu chwilowego cierpienia p. Kalicińskiego „Recepty na świekry.“

Ale bo téż towarzystwo p. Sztengla mieści w gronie swém siły, których nie powstydziłaby się żadna scena większego miasta; potrzeba mu tylko uzupełnienia ich, zwłaszcza po stronie personalu żeńskiego.

Pani Bolechowska, choć nie powiemy, aby była artystką utalentowaną, posiada już pewne obycie sceniczne; nie stworzy ona wprawdzie nowéj postaci, któraby przewyższyła nieosobliwy często ideał autora, lecz nie zepsuje téż żadnéj roli, bądźto poważnéj, bądź naiwnéj. Gra p. Bolechowskiéj jest przedewszystkiém naturalną; zachwycającą jak dykcja artystki, a śpiew jéj wiele ma dźwięku.

Pani Janosz nie łatwo może dałaby się zastąpić w rolach gadatliwych niewiast; przejmuje się swą rolą, lecz w skutek pewnéj lękliwości przy występowaniu pamięć nieraz ją zawodzi, co sprawia, że artystka staje się na chwilę samą sobą, a oddanie ducha roli na tém traci.

Pani Roger ważięczną jest na scenie postacią, wymowa tylko niejedno pozostawia do życzenia.

Panna Piasecka debiutowała tu w „Wojnie z sąsiadką“ i w „Żydach.“ O ile dwa pierwsze występy te uprawniają do wydania sądu, nie można p. Piaseckiéj bynajmniéj odmówić przyszłości; jako hrabina w „Żydach“ miała chwile bardzo szczęśliwe; ruchy i postawa nieco rażące, natomiast o wiele lepiéj pozuje.

Z personażu mezkiego dla krótkości wymienimy tylko panów Kalicińskiego, Zboińskiego i Wardzyńskiego.

Pierwszego znacie dobrze; pana Zboińskiego zaletą jest nadzwyczajna łatwość w grze, poznać w nim od razu doskonale rutynowanego artystę.

P. Wardzyński posiada niezaprzeczenie wiele talentu. Jakkolwiek dalecy od chęci ubliżenia mu, sądzimy, że w własnym nawet interesie jego nadmienimy, iż p. Wardzyński za wiele o talencie swym posiada świadomości, która to okoliczność niekorzystnie wpływa na rozwinięcie zdolności artysty, któremu przy wykształceniu jego rokowaćby można przyszłość obfitą w laury.

Tyle o artystach.

Z pomiędzy odegranych tu sztuk kilka słów tylko poświęcimy „Wojnie z sąsiadką.“ Jest to utwor „muzy na ziemi Chełmińskiéj kwitnącéj.“ Jeżeli użyłem wyrazu „utwor“, użyłem go niewłaściwie; bo jest to raczéj sceniczne przerobienie humoreski Wołodego Skiby. Téj to okoliczności niezawodnie przypisać należy, że „Wojna z sąsiadką“ w miernym tylko stopniu odpowiada warunkom scenicznym — monologi, nużące i widzów i artystę, który wysilać się musi, by ożywić je gestykulacją, brak akcji nieco rażący. Z drugiéj strony utworek ten zdradza pióro dowcipne i, jak na początek, bynajmniéj nie pozbawione talentu autorskiego. Jesteśmy przekonani, że autor czy autorka z większém powodzeniem tworzyłaby samodzielnie.

Co do udziału z strony publiczności, dwa tylko przedstawienia niedzielne zapełniły cały prawie teatr; najlepiéj dopisywała galerja. Publiczność zamiejscowa zrażona była doznanym co do dwóch pierwszych przedstawień zawodem, które to przedstawienia z powodu spóźnionego transportu garderoby nie przyszły do skutku. Pomimo to p. Sztengel niebyłby miał w kasie niedoboru, gdyby nie był zniewolony spędzić w Toruniu kilku dni, razem około tygodnia, bezużytecznie. Jest to w ogóle głównem wędrownéj sceny polskiéj niedomaganiem, że przesiadując w pewném miejscu dłużéj, niż potrzeba, lub odkładając po przybyciu na miejsce pierwsze przedstawienia na dni kilka, pomnaża sobie koszta, nie mając żadnych dochodów. Dzieje się to w skutek braku kapitału obrotowego.

I tu więc p. Sztengel nie zdołał pokryć z dochodu kosztów; ale obywatelstwo okoliczne, widząc niezmitrężoną zabiegłość jego, oceniając nadto wpływ „apostołów słowa polskiego“ przedewszystkiém na niższe warstwy społeczeństwa, udzieliło mu znaczną subwencję. Nadto zaprojektowała Gazeta Toruńska stowarzyszenie, któreby wspierało powodzenie sceny wędrownéj przez ułatwienie p. Sztenglowi kredytu, czy téż przez prowadzenie interesów sceny wędrownéj na swój rachunek. Ryzyka nie byłoby ztąd żadnego, bo niepowodzenie sceny wędrownéj pod względem materjalnym jest tylko względne, wypływające, jak już powiedzieliśmy, z braku zasobów pieniężnych; biorąc rzecz samą w sobie, dochody sceny téj są dość znaczne, a przynajmniéj byłyby dostateczne.

Lecz dość o teatrze; wypada bowiem jeszcze podzielić się z Wami inną wiadomością. Otóż w dniu 7go b. m. zawiązało się tu „Kółko Towarzyskie.“ Jego celem jest zespolenie tutejszego żywiołu polskiego ku wspólnéj rozrywce i pożytecznemu spędzeniu czasu, do czego połączona z Kółkiem czytelnia podaje sposobność. Dotychczas należy do Kółka cała polska inteligencja toruńska, obywatele z okolicy, a nawet z stron dalszych licznie przystępują; późniéj skoro Kółko materjalnych nabierze sił, otworzy się przystęp i klasom średnim, a nawet niższym. — Kółko przeobrazi się może w Towarzystwo przemysłowe.

Wczoraj odegrał w lokalu Kółka koncert na gitarze i wiolonczeli przebywający tu chwilowo p. Stanisław Szczepanowski; stało się to mimo zamiaru koncertanta; Zarządowi Kółka udało się pozyskać go dla prywatnego, że tak powiem, wystąpienia. Pod wpływem czarujących dźwięków wydobytych mistrzowską ręką z tak niewdzięcznego instrumentu, jakim jest gitara, miły spędzono wieczorek. Program był następujący: 1) Fantazja z oper Moniuszki „Halka“ i „Hrabina“, odegrana na gitarze; 2) Modlitwa i polowanie w kniejach naszych na wiolonczeli; 3) Improwizacja na dumki i krakowiaki (gitara); 4) Wspomnienie Krakowa (wiolonczela); 5) Pobudka i marsz wojskowy (gitara); 6) Śpiewy narodowe i mazurek sielankowy (wiolonczela). W końcu uproszono artystę do odegrania jeszcze mazura. Dziś p. Szczepanowski wyjeżdża do Inowrocławia i daléj w głąb Księstwa.

J. Gl...

Z Gniezna.

Jednego z najmilszych uczuć doznajemy, mając sposobność przeświadczenia się o pilném kształceniu się młodego pokolenia, bo wykształcenie — to najlepsza rękojmia nietylko bytu, ale i dalszego rozwoju narodowego. Wiedząc zaś, jak niesłychanie ważną jest rola niewiast w naszém społeczeństwie, — wiedząc, jaki wpływ dotąd wywiera i zapewne nie tak prędko wywierać przestanie kobiéta na tenże rozwój społeczny, tém baczniejszą uwagę zwraca każdy na kształcenie młodzieży niewieściéj. Radosnego, na wstępie wspomnionego uczucia doznał niezawodnie każdy, kto był obecnym na popisie dorocznym 29go września r. b. w tutejszym zakładzie PP. Urszulanek, istniejącym tu zaledwie od lat kilku. Okolica nasza początkowo, jak zwykle w takich razach bywa, nieco się wahając, przekonana postępami wychowanek, z całą ufnością garnąć się zaczęła do pomienionego zakładu, tak że pensjonat PP. Urszulanek do tego stopnia przepełnił się uczennicami, iż musiano znacznie rozszerzyć pierwotny lokal, aby wielką ich liczbę pomieścić. A i z przychodnich panien utworzył się znakomity zastęp, tak że przy końcu roku szkólnego doszło do znacznéj liczby — 105.

Ponieważ zakład wspomniony w krótkim czasie swego istnienia dał już dowody błogiéj swéj działalności, i ponieważ obowiązek nakazuje zwrócić nań ziomków uwagę, dla tego pozwólcie, że się o nim nieco obszerniéj rozpiszę.

W pensjonacie tym pracuje w ogóle 14 nauczycielek i dwóch nauczycieli. Mniejszą część nauczycielek stanowią zakonnice, większą zaś osoby świeckie, pod głównym zarządem i nadzorem Matki Przełożonéj zakładu. Klas jest właściwie ośm, z tych najwyższą selekta, z któréj po roku składają uczennice egzamin dojrzałości przed komisją egzaminacyjną rządową w Poznaniu. Dotychczas świetnych doczekał się zakład z téj klasy rezultatów. Uczennice bowiem tutejsze chlubnie się zawsze odznaczyły na egzaminie rządowym. Z tych nawet dwie, po świetném złożeniu egzaminu, w uczuciu zapewne wdzięczności dla zakładu, czynną mu przyniosły pomoc, udzielając czasowo lekcji.

Z dwóch nauczycieli świeckich jeden, będący profesorem wyższym przy tutejszym gimnazjum, udziela lekcji fizyki, drugi zaś muzyki i śpiewu.

Przejdźmy teraz do opisu publicznego egzaminu dorocznego.

Zaproszeni rozesłaniem programów rodzice i miłośnicy kształcącéj się młodzieży, zjeżdżają się i schodzą w tym dniu tak licznie, że ich sala klasztorna pomieścić nie może. — PP. Urszulanki mieszczą przeto, jak mogą. szanowną publiczność w przyległych sali popisowéj pokojach. — Szanowne duchowieństwo reprezentują członkowie kapituły tutejszéj, jeden z nich, ksiądz kanonik W., przewodniczy całéj uroczystości.

Ksiądz kanonik W. jest prawdziwym ojcem duchownym i gorliwym opiekunem zakładu. Niezmordowanéj to czynności i opiece jego w znacznéj części trzeba przypisać pomyślny rozwój naukowego PP. Urszulanek zakładu.

Jeśli egzamin publiczny w ogóle może być probierzem doskonalości jakiéjkolwiek szkoły, to niniejszy musiałby świadczyć nader korzystnie. — Przedmioty, z których egzaminowano, znały panny dokładnie, a odpowiedzie sypały się gradem i „jak po sznurku.“ — Być może, iż publiczność wielce była z tego właśnie zadowolniona; co do mnie uczyniłbym tę przedewszystkiém uwagę, iż zdaje się zbyt wielkiego dokłada zakład starania o wyćwiczenie pamięci uczennic, przez co poniekąd na szwank naraża własny sąd i rozwój umysłowy tychże. Mając tę okoliczność na względzie, że zadaniem zakładu powinno być kształcenie umysłu i serca młodych uczennic, niepodobna przypuścić, iżby najkorzystniéj było dopiąć owego trudnego celu na téj właśnie drodze. Życzyćby raczéj wypadało, aby w przedmiotach mianowicie, jakiemi są historja powszechna i literatura, więcéj dawały uczennice dowodów własnego o rzeczy sądu i jéj zrozumienia, jak żeby przytaczały dosłownie zdania o tém piszących autorów. Prawda, że co do literatury ojczystéj najmniéj jeszcze dało się uczuć owo niedomaganie; ale też z drugiéj strony i na to zwrócić uwagę należy, że tylko zręczne pokierowanie przedmiotu i pytań przez uzdatnioną i niezaprzeczonym talentem pedagogicznym obdarzoną Docentkę, którą jest sama Matka Przełożona zakładu, potrafiło uczynić mniéj rażącém owo niedomaganie. Istotnie w zdumienie nas wprowadził ogrom wyjątków, na pamięć przez uczennice cytowanych z pisarzy w literaturze tak polskiéj, jak niemieckiéj i francuzkiéj, mianowicie zaś w niemieckiéj. Można też powiedzieć, że egzamin z tego ostatniego przedmiotu po większéj części zapełniły owe cytaty wyjątków z „Messjady“ Kloppstocka. Zresztą więcéj daleko naszém zdaniem byłoby upragnioném samo ocenienie ważniejszych płodów autorów, jak szczegółowe przechodzenie ich życiorysów. Wszakże bynajmniéj z tego powodu nie myślę czynić zakładowi zarzutu. Chociaż bowiem rzecz miała taki przebieg w czasie egzaminu, to w istocie saméj ma się ona zapewne inaczéj przy wykładzie przedmiotu podczas godzin szkolnych.

Czego jednakże przemilczeć nie wolno, to téj okoliczności, że błędne ze strony uczennic odpowiedzie tolerowały egzaminujące nauczycielki nieraz, mianowicie w rachunkach i w zadaniach, mających stwierdzać reguły gramatyczne. Nietylko to bowiem niemile uderzać musiało uważniejszą publiczność, ale co gorsza, źle wpłynąć może na sameż uczennice. — Egzamin z dziedziny fizyki wielce zainteresował publiczność. Przy tymto właśnie przedmiocie najwybitniéj uwydatniła się różnica systemu w wykładzie. Nie zdaje się, iżby szanowny profesor używał pewnego podręcznika w wykładzie, ale raczéj nasuwa się domysł, że ustnie tylko przedmiot wykładał. Jeżeli jednakże rzecz ma się przeciwnie, to zawsze poczytaćby mu można za zasługę, iż nie obciążał pamięci uczennic, ale raczéj usiłował rzecz oprzeć na własném przeświadczeniu się tychże i przetrawieniu przedmiotu, zostawiając im dowolne tegoż opowiedzenie.

Zauważyć było można, że wszystkie języki, jakich tu uczą, traktuje zakład z całą pieczołowitością, mianowicie zaś język i historję ojczystą, co mu za prawdziwą a główna poczytujemy zasługę. — Istotnie, rzadko się zapewne zdarza, iżby język ojczysty gramatycznie z takiém staraniem i usilnością pielęgnowano, jak właśnie tutaj. Niejedno niestety gimnazjum rumienićby się musiało w obec wiadomości na tém polu uczennic PP. Urszulanek, a niejeden uczeń gimnazjalny nie sprostałby w wiadomościach z dziedziny dziejów ojczystych uczennicom rzeczonego zakładu.

Że zakład o religijne dba wychowanie uczennic, wynika to z natury rzeczy, i można się tylko z tego cieszyć, zwłaszcza, że zupełnie niesłusznym byłby zarzut, jakoby w tym kierunku zbyteczna panowała prewalencja. — Co jednakże przewodniczki pensjonatu, mojém zdaniem, mogłyby znacznie podnieść, to zamiłowanie do praktycznych a użytecznych robót kobiécych. Wprawdzie są godziny temu celowi przeznaczone, sądząc jednakże z owoców, nie odpowiadają one zupełnie swemu zadaniu. Komu wiadomo, jak ważną jest ta gałąź umiejętności kobiécéj w dalszém życiu uczennic i jak dotąd powszechnie była ona u nas lekceważoną, ten zapewne podzieli moje zdanie. Zresztą przez wzgląd na to, że panienki, do zakładu uczęszczające, po największéj części skazane są na oględność praktyczną w życiu i że nie każdéj zdarzy się sposobność uzupełnienia tego braku, wartoby przedmiot ten więcéj uwzględnić.

Szczere pielęgnowanie muzyki i śpiewu w zakładzie jest widocznem; to też śpiew choralny wykonany był z taktem i wszelką precyzją; szczególniéj też w nim odznaczało się solo byléj uczennicy zakładu.

Sprawozdanie to równie jak popis, dla tych, co mu byli przytomni, samo o wartości zakładu przemawia, kończym je więc życzeniem: oby Wielebne PP. Urszulanki nieustawały w pracy około dobra ogółu!

* * *

Do powyższego sprawozdania niechaj mi wolno będzie przyczepić wiadomość, że po długich usiłowaniach ukonstytuowało się tutaj nareszcie Towarzystwo śpiewu, jako filja Centr. Towarzystwa „Harmonji“ w Poznaniu. Ciekawém jest, czy i to towarzystwo, jak innych tyle w Gnieźnie, na to tylko zapłonęło, aby po niejakim czasie zgasnąć, nie zostawiając, jak tylko przykry dym swarów i nieporozumień po sobie. Dowodziłoby to, jak z jednéj strony braku uczucia estetycznego ze strony mieszkańców Gniezna, oraz braku wytrwałości, tak z drugiéj strony istnie zaściankowych ambicyjek i intryżek, jakiemi się tak często odznaczamy.

*

Przedpłaciciele
na książkę pamiątkową naszego wydawnictwa:

11. Wiel. M. Wierzbicka z Sosnówki pod Wąbrzeźnem 2 egz.
13. Wiel. Wacław Kostkiewicz z Obertyna........ 1 „
14. Wielm. Julja Wrońska z Nowego Miasta w Morawji 1 „
15. Wielm. Wanda z hrabiów Kwileckich Niegolewska w Murownicy........ 1 „

Skrzynka do listów.

P. Stefanowi R... w Trenchinie na Węgrzech: Nadesłana kwota zupełnie wystarcza.

Kochanemu Włodziowi w Brukselli zasyłamy braterskie pozdrowienie i odnośnie do Jego listu podziękę anticipando.

P. Wacławowi K... z Ob...: Przewyżkę w ilości 25 centów, zapisaliśmy na przyszłe ćwierćrocze.

Pani B. Cz... z Z.. pod T...: Przez nieporozumienie zaniechano wysełać nasz Tygodnik, który odtąd regularnie dochodzić będzie. Nadesłana kwota pozostaje do dalszéj dyspozycji. — „Ojczyma“ drukować będziemy.

Pani J. Wr... z N... M...: Nadesłanego florena wręczono komu należy.

P. S... D... z Pr...: Postaramy się o siódmy tom Rzewuskiego.

P. J... G... z L...: Sypiąc groblę wedle sił i możności, żałujemy mocno, że trudno nam chwilowo korzystać z uczynionych propozycji.

P. C... K... w Ismaïlji: W wiadoméj sprawie pisaliśmy do Lwowa.

P. W... S... w Krakowie: Upominamy się o dalszy ciąg i koniec rozpoczętéj pracy.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.